



WYDAWNICTWO WAM

Siostrę Jolantę Gląpkę poznałam dawno temu. I kompletnie nie pamiętam, w jakiej sytuacji. Prawdopodobnie nasze spotkanie miało związek z moją pracą zawodową, mogło też się odbyć w Radiu Józef, w którym obie czasem bywałyśmy. Jedna rozmowa, druga, trzecia. Powoli poznawałam s. Jolę i jej świat – wielopłaszczyznowy, ciekawy, a równocześnie zawsze nastawiony na jeden cel: dotarcia do człowieka przeróżnymi metodami tak skutecznie, żeby pokazać mu Boga.

W końcu miałam absolutną pewność, że jest na tyle nietuzinkowa, że warto przybliżyć jej postać tym, którzy nie mogą poznać jej osobiście. Tym bardziej, że historia życia s. Joli to materiał na grubą książkę z wątkami niemal sensacyjnymi. Praca, którą wykonuje, wymaga twardego charakteru, wielkiego ducha i konsekwencji. Również wiary w siebie i innych. A jednocześnie – delikatności, kobiecej wrażliwości i współczucia. Siostra Jolanta, gdyby chciał określić ją najkrócej, to osoba o nieprawdopodobnej wręcz pokorze i niezwykłym pokoju, która (gdy trzeba zawalczyć nie o swoje) walczy i potrafi tupnąć.

Wiele się współcześnie mówi o samorealizacji kobiety. O wolnym wyborze, równouprawnieniu, działaniu na przeróżnych polach, również tych kojarzonych raczej z pracą zawodową i przestrzenią życiową mężczyzn.

Kobieta nowoczesna i odnajdująca się w tzw. dzisiejszym świecie powinna być aktywna, wolna i nie podlegać stereotypom. W tym kontekście, w dialogu społecznym, katolicki dość często przedstawiane są jako te, które nie radzą sobie na polu równouprawnienia i samorealizacji. Postrzegane stereotypowo, traktowane są często z pewną dozą arogancji lub protekcyjnie: ot, biedne kobiety, którym Kościół katolicki odebrał swobodę, ambicje życiowe oraz możliwość rozwoju. Podobne stereotypy dotyczą siostr zakonnych: są one często opisywane jako bezwolne, nijakie, postrzega się je wręcz jako współczesne niewolnice bez aspiracji i życiowej energii. Nie wnikając w zasadność tych ocen, można tylko uśmiechnąć się pod nosem, gdy opisy te zestawia się z postacią s. Jolanty. Jest ona częścią Kościoła, jak mówi: kocha Kościół miłością wielką (i odwzajemnioną) i właśnie z tej miłości wynikają jej życiowe wybory i działania. Zawsze zorientowane na drugiego człowieka, na potrzebującego bliźniego, w którym nie sposób nie zauważyć cierpiącego Chrystusa. Praca, często ciężka i niewdzięczna (jak mniemam, bo s. Jolanta właściwie nigdy się nie skarży), daje jej osobiste spełnienie. I szczęście. W oczach s. Jolanty po prostu widać, że czuje się kochana, że jest szczęśliwą kobietą.

Gdyby s. Jolanta mówiła górnolotnie i patetycznie, jej motto życiowe mogłoby brzmieć: „Przez pomoc ludziom można osiągnąć osobiste szczęście i próbować dojść do nieba”. Ale na szczęście s. Jolanta Głapka – psycholog, taterniczka, córka komunisty-ideowca – nie mówi górnolotnie, patetyczne opisy pozostawiając (acz niechętnie) nieco zmanierowanym dziennikarkom. Mimo ogromnej

otwartości i serdeczności nie lubi mówić o sobie. Szczególnie o uczuciach, trudnościach czy nawet wewnętrznych radościach. S. Jolanta opowiada o ludziach, z którymi pracuje, którzy są dla niej ważni. Mówi o pracy, o swoich pasjach. I dopiero z tych opowieści, gdy zacznie się je czytać między wierszami, wyłania się obraz jej samej: postaci o gigantycznej wrażliwości, wielkiej pasji życia, otwartości na ludzi i na to, co przyniesie każdy kolejny dzień.

Im dłużej zna się s. Jolantę, tym bardziej ona fascynuje. Przedziwne zresztą: starsza, siwa siostra zakonna, bez gadania o sobie i autopromocji potrafi porwać wiele młodszych osób, oczarować je i spowodować, że chciałoby się wejść na jej drogę i choć troszkę jej towarzyszyć. Nawet jeśli to towarzyszenie byłoby nieporadne, jakieś niepełne i bardziej byłaby to pomoc sobie i swoim kompleksom niż rzeczywista pomoc bliźniemu.

Niniejsza książka nie jest publikacją typowo biograficzną, w której od A do Z opisane jest czyjeś całe życie. To rozmowa dwóch kobiet charakteryzująca się typowym dla tego rodzaju spotkań przeplataniem tematów, dygresjami, specyficznym nastrojem. Czasem to, co między słowami, ważniejsze jest tu od samych słów... Chronologia wydarzeń z życia s. Joli została zachowana jedynie po to, by czytelnik nie pogubił się w meandrach życia zakonnego. Ważniejsze od dat, od poukładanych w równym rzędku informacji jest to bowiem, co się z nimi wiąże i co przez nie s. Jola komunikuje: emocje, ich przyczyny i skutki. Poszczególne rozdziały to niejako osobne historie, puzzle z życia s. Jolanty, które łączy cała jej życiowa droga, jej powołanie. Niektóre wątki, choć szczegółowo opisane w jednym rozdziale, dość

swobodnie przewijają się więc między kolejnymi częściami książki, tak samo zresztą jak w życiu: nie da się ważnych spraw sztucznie zamknąć w jednej tylko szufladce.

Punktem wyjścia opowieści o pasjonującym życiu s. Joli niech będzie krótki biogram, który pozwoli połączyć wątki i uszeregować je w czasie. Urodziła się w Zakopanem pod koniec lat 40., by po kilku latach przeprowadzić się z rodzicami i młodszą siostrą do Jeleniej Góry. Najbliżsi siostry to z jednej strony wierząca mama i babcia, z drugiej ojciec, który – choć szlachetny i uczciwy – był... marksistą i krzywym okiem patrzył na religijność córki, a tym bardziej jej szukanie Boga, powołania. Oczywiście musiało to wywoływać spore napięcia między młodą, wierzącą dziewczyną a jej (ukochanym zresztą) tatą. I nauczyło młodą Jolę walki o swoje.

Jola jako młoda dziewczyna zakochała się w Tatrach. Góry stały się jej największą pasją – zaczęła się wspinać już jako nastolatka. Podczas studiów psychologicznych zapisała się też do klubów wysokogórskich, gdzie „wsia-
kła” w środowisko profesjonalnych wspinaczy, poznała m.in. Wandę Rutkiewicz. Jola, sama i z przyjaciółmi, polskie Tatry przebyła wszereż i wzdłuż – na linach, z rakami, młotkami i hakami. Ale lubi też prostsze wyprawy – niewymagające sprzętu, za to szeroko otwartych oczu, które wciąż zachłannie chłoną piękno przyrody. Pod koniec lat 70. swoją przyszłość zaczęła więc wiązać z jednej strony ze wspinaczką, z drugiej – z pomaganiem ludziom. Na studiach psychologicznych chciała poznać człowieka i dowiedzieć się, jak mu pomagać. Jednak po ich ukończeniu, chociaż pracowała jako psycholog i niosła pomoc ludziom,

czuła coraz wyraźniej, że Pan Bóg chce od niej czegoś więcej.

Latem 1980 roku wyjechała więc do Indii, by najpierw chodzić po górach, a następnie pracować jako wolontariuszka u Matki Teresy w Kalkucie. Ta wyprawa niemal skończyła się tragedią. Siostra Jolanta otarła się o śmierć. Ocalała cudem. Z Indii przywiozła drugie życie i jedno słowo, polecenie z Góry, które będzie jej zawsze towarzyszyć: „Walcz!”. Ten wyjazd okazał się przełomem: w dużym stopniu rzutował na całe życie Jolanty. Po powrocie z Indii przez kolejne trzy lata Jola nadal szukała swojej drogi, drogi swojego prawdziwego powołania. Znalazła ją! Wstąpiła do zakonu misyjnego, do Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusa Sacré Coeur. Jeszcze przed ślubami wieczystymi pracowała w szkole katolickiej. Po ślubach natomiast zaczęła uczestniczyć w tworzeniu katolickich mediów elektronicznych. W połowie lat 90. s. Jola wróciła do wyuczonego zawodu i rozpoczęła wieloletnią pracę z narkomanami w ośrodkach dla uzależnionych i hospicjum dla osób seropozytywnych. Jest też zaangażowana we wspólnotę charyzmatyczną Przymierze Miłosierdzia, w której również (poprzez modlitwę) pomaga się bliźniemu. W końcu założyła Fundację „Pasja Życia”. Jej zadaniem jest niesienie pomocy młodzieży zagrożonej narkomanią i byłym narkomanom, którzy po zakończonej terapii najczęściej nie mają gdzie wrócić, więc wracają w bagno. Z założeniem fundacji wiąże się też gigantyczna budowa ośrodka – Centrum Pasja Życia, w którym podopieczni siostry będą przebywać i otrzymywać (a częściowo już otrzymują) niezbędną pomoc.

Prawda, że sporo jak na jedną, skromną (!) zakonnicę?

Trudno byłoby przeprowadzić długą rozmowę o całym tym fascynującym życiu, pasji, kobiecości, pracy, powołaniu i o górach... bez gór. Dlatego książka ta w dużej części powstawała w Tatrach. Nasz wspólny wyjazd do miejsca urodzenia s. Jolanty – Zakopanego – był właściwie podróżą do czasów młodości, dawnych uczuć i zmagañ, dojrzewania i dorastania młodej dziewczyny, rodzinnych spraw, które po latach wywołują subtelny uśmiech dojrzałej kobiety. Wspólne spacerowanie wśród starych śmieci, po uliczkach znanych tylko zakopiańczykom, a także wyjścia w góry (niezbyt dużo, ale zawsze) to dla mnie niezapomniane i ważne chwile. Czas, w którym słuchając o życiu mądrej i dobrej kobiety, mogłam myśleć o własnym życiu i o własnych wyborach.

To, że s. Jolanta zaprosiła nas, czytelników, do swojego życia, jest okazją, by przemyśleć wiele spraw, być może uwierzyć w siebie i w ludzi wokół. A może również ta rozmowa i przykład życia skromnej zakonnicy okaże się impulsem, by odważnie rozpocząć poszukiwania własnej drogi? Własnego powołania? Życie Joli może być ogromną inspiracją, by – gdy trzeba i gdy warto – walczyć. Walczyć bez lęków i bez autoograniczeń, o innych, ale też o siebie.

Agata Puścikowska

FUNDAMENTY



PRZEZ
CAŁE
ŻYCIE



CZYLI DOM NOSI SIĘ W SOBIE

Chodzimy od dłuższego czasu po Zakopanem. Znasz to miasto jak własną kieszeń.

Nie może być inaczej. Tu się urodziłam i spędziłam wiele lat życia. I często wracam.

Ale góralką nie jesteś?

Cieszę się, że potrafisz to rozgraniczyć: zakopiańczyk to nie zawsze góral. Cepry mają czasem z tym problem (*śmiech*). Urodziłam się rzeczywiście w Zakopanem, ale rodzice nie pochodzili z Podhala. Mama była z Limanowej, tato z Leszna Wielkopolskiego. O widzisz, tu po lewej stronie ulicy, była księgarnia, w której przez jakiś czas pracowała moja mama. Do Zakopanego najpierw przyjechała moja ciocia Czesława z wujkiem Władysławem. Po prostu za pracę, żeby żyć. Matka z tatą natomiast osiedli w Zakopanem w 1947 roku. Wzięli tutaj ślub. Jednak ojciec na stałe z nami nie mieszkał. Pracował, jak to wojskowy, tam, gdzie była potrzeba. Na stałe stacjonował ze swoją jednostką w Zegrzu niedaleko Warszawy, a stamtąd przyjeżdżał do nas. Rodzice poznali się natomiast jakiś czas wcześniej, jeszcze

w Jarosławiu, gdzie babcia od strony mamy, Anna, wynajmowała pokoje. Mój ojciec, oficer Ludowego Wojska Polskiego, zatrzymał się u przyszłej teściowej. I tak to się zaczęło.

W końcu urodziła się Jolanta Glapka.

W dzieciństwie mieszkałam właśnie tutaj, gdzie stoimy, w tym domu przy ulicy Tuwima 13. Murowanym, starym, przepięknym. Rodzice wynajmowali drugie piętro. Po wojnie z mieszkaniem był problem. Dlatego ojciec, zanim sprowadził nas do Zegrza, musiał zatroszczyć się o jakieś lokum dla swojej rodziny. W Zakopanem miałyśmy dobre warunki. Mój pokój był z prawej strony budynku, na górze. Z widokiem na góry. Miałyśmy tam, ja i moje kuzynki, wspaniałe dzieciństwo. Parcela była duża, przepływał przez nią strumyk. Szkoda, że teraz go już nie widać. Brałyśmy z kuzynkami kocyk, zabawki i spędzałyśmy na trawie każdy ciepły dzień.

Dziś z lewej strony twojego domu stoi wielki, nowoczesny budynek – ośrodek rekolekcyjny oo. Saletynów.

Tak zwana Maleńka, bo początkowo ten ośrodek był naprawdę maleńki. Ot, niewielki domek i kapliczka. Opiekowała się nim moja ciotka Czesława. Sprzątała, prała obrusy, cerowała księżom sutanny. Robiła to do-

browolnie i z serca, w ciszy, bez rozgłosu, w wielkiej pokorze. Święta kobieta i dobry człowiek. Szczerze mówiąc, wujka to trochę denerwowało. Czasem jej z tego powodu dogryzał, bo przecież nie brakowało jej pracy – zajmowała się domem i trójką dzieci. W głębi serca jednak akceptował to jej dodatkowe zajęcie.

Z drugiej strony waszego dawnego domu też jest zgromadzenie zakonne. Ale mieliście towarzystwo...

Nawet nie pamiętam, jakie siostry tu mieszkały...

Siostry Wspólnej Pracy od Niepokalanej Maryi.

O, właśnie! Te siostry były dla nas równie ważne. Żeby było ciekawiej, ich dom nosił nazwę „Willa Texas”. Mam nawet przed nim zdjęcie – stoję tam razem z moją rodzoną siostrą Wandzią obok figurki Matki Bożej. Siostry przygotowywały moją Wandzię do Pierwszej Komunii Świętej. Wiadomo, jakie to były czasy: głęboki komunizm. Tymczasem przecież mój tata należał do partii, więc zobowiązał się do wychowywania dzieci w duchu marksistowskim. I z tego był rozliczany... Jednym słowem, sprawy wiary i religijności musiały być załatwiane dyskretnie...

Tymczasem twój wuj, mąż Czesławy, Władysław, wykazywał raczej antykomunistyczne nastroje...

Rzeczywiście, wujek Władysław Kruszewski był w AK. Walczył podczas wojny. Po wojnie dostał wyrok śmierci. Ciocia była wtedy w ciąży z pierwszym dzieckiem... Nieprawdopodobnie ciężka sytuacja. Na szczęście po śmierci Stalina wujka objęła amnestia. Z moim tatą był w ciągłym konflikcie, w ciągłym sporze. Jednocześnie w jakiś przedziwny sposób kochali się niemal jak bracia. Byli w bliskich relacjach. Może dlatego, że pewne ideały mieli wspólne? Obaj szczerze kochali swój kraj, chociaż dobro Polski widzieli zupełnie inaczej. Uczciwi byli po prostu... W dodatku, taki paradoks, łączyło ich wiele. Ojciec walczył o społeczną równość. Wujek działał prospołecznie, choćby na rzecz biednych dzieci. Na swój sposób obaj byli patriotami. Każdy inaczej. Wujek Władzio był szefem zakopiańskiego Społem. Pamiętam, że miał cięty język i nigdy nie owijał w bawełnę: zawsze po prostu mówił prawdę. Mówił to, co uważał za słuszne. Niezłomny był i nie bał się nikogo. Żył wśród górali, oceniał ich bardzo konkretnie, dość krytycznie i nie miał w stosunku do nich lichego sentymentu, który często zdarza się ceprom. On znał górali, znał ich wady i doskonale je punktował. Opowiadał też sporo anegdot na ich temat, choćby o weselu góralskim: jeśli na weselu nie ma dwóch zabitych i trzech rannych, wesele nieważne. Górale bardzo go cenili. I uważali za mądrego,

dobrego człowieka. Zapraszali go na wszystkie uroczystości rodzinne, liczyli się z jego zdaniem.

Wujek miał konspiracyjną wojenną przeszłość. Pytałaś go o to?

Nie rozmawiał niemal wcale o wojennych czasach. Wielka szkoda... Nie byłam zresztą długo świadoma jego trudnej przeszłości, jeszcze wojennej. Trzeba go było pytać do skutku. Wujek, rocznik dwudziesty, urodził się w Wadowicach i chodził do równoległej klasy z Karolem Wojtyłą! Razem grali w piłkę. Po 1978 roku ciągle się więc w domu rozmawiało o papieżu. Wujek, nawet już bardzo chory, był niesamowicie zaangażowany w organizację pielgrzymki Jana Pawła II i jego pobytu w Zakopanem w 1997 roku.

Cała Polska mogła wujka poznać, gdy podczas tamtej pielgrzymki dyrygował słynnymi połączonymi góralskimi chórami.

Wujek przygotowywał setki górali, którzy śpiewali podczas pobytu Ojca Świętego w Zakopanem. Pięknie to wyszło. Niesamowite było, jak chór zaśpiewał *Tu es Petrus*, kiedy przybył Jan Paweł II. Wszystko było świetnie wyćwiczone, bo wujek był osobą bardzo pracowitą, działał z wielką pasją. Na co dzień prowadził chłopięco-męski chór „Wierchy”. Był postacią dość charaktery-

styczną: miał zakryte jedno oko z powodu przebytego wcześniej raka. Zmarł w 2008 roku.

Byłaś szczęśliwym dzieckiem?

Zdecydowanie. Czułam się owocem miłości. Rodzice kochali siebie, kochali mnie. W rodzinie była atmosfera wzajemnego szacunku mimo dzielących nas różnic. Ojciec pracował zawodowo, mama również – była księgową. Prowadzeniem domu zajmowała się moja ukochana babcia Anna, która z Jarosławia dołączyła do reszty rodziny.

Te różnice w domu...

... były na tle politycznym i religijnym. I to poważne. Wujek AK-owiec, ojciec wojskowy i partyjny. Babcia zawsze dogadywała ojcu, oj, dogadywała. Powtarzała mu często, że jest bolszewik. A ojciec znosił to ze stoickim spokojem.

A ty? Pokornie znosiłaś tę domową „różnorodność”? Czy trochę się buntowałaś przeciwko ojcu?

Babcia była najbardziej aktywna w przekazywaniu wiedzy religijnej. Ona nie bała się krytycznie wypowiadać o poglądach taty. Zbijała jego argumenty na temat nieobecności Boga w świecie. A ja musiałam sama od-

powiedzieć na pytanie: jak jest naprawdę, czy Bóg istnieje, czy nie. Szukałam. Głównie w sercu i w mądrych książkach. Poszukiwałam też Boga w przyrodzie. Głośno zadawałam Mu pytania. Chociażby chodząc po górach. A cały czas w kwestiach wiary autorytetem była dla mnie babcia. Chciałam wierzyć tak jak ona, więc rzeczywiście buntowałam się przeciwko poglądom ojca, jego wizji Kościoła i świata.

Tata nic z tej „wizji” ci nie zaszczepił?

Czym innym jest osobista relacja z Bogiem i wiara, a czym innym obraz Kościoła. Obraz Kościoła przecież powstaje na podstawie obserwacji, faktów, wiedzy. Skoro moja wiedza w dużym stopniu była ukształtowana przez obraz skażony fałszywą wizją marksistowską, chociażby propagandą z „Trybuny Ludu”, to w jakiś sposób w części nią nasiąkałam. Ta propaganda była wszechobecna i ogromnie silna. Trudno się było od niej uwolnić. Czy tego chciałam, czy nie, treści antykościelne zakiełkowały w mojej głowie. Dlatego na przykład, już jako dorastająca dziewczyna, miałam krytykancki stosunek do części hierarchii. Co ciekawe w kontekście późniejszych wyborów, nie miałam pojęcia, czym jest powołanie zakonne, a siostry zakonne, które spotykałam, wcale nie jawiły mi się jako szczęśliwe, radosne i zadowolone z życia.

A mimo to trwałaś w wierze! Wielka łaska?

Łaska polegała na tym, że mój tato paradoksalnie ją ze mnie wyzwał. Będąc w opozycji do jego poglądów, ciągle miałam okazję walczyć z nim o wiarę, zdobywać ją. Przez nieustanne kłótnie z tatą upewniałam się w swoim. I krok po kroku, szukając w książkach, rozmawiając z babcią, zdobywałam pewność, że jestem na dobrej drodze, że to ja mam rację, wybierając Boga. Ojciec, krytykując Kościół, nie rozumiejąc istoty jego działania i funkcjonowania, prowokował mnie do poszukiwań. To był pewien proces, ciągły proces: przez ten konflikt zyskiwałam, umacniałam się w wierze. Jestem pewna, że tamten czas, czas i buntu i walki o moją wiarę, wywarł i wciąż wywiera wpływ na całe moje życie. Ciągłe chcę świadczyć o żywym Bogu. I jeśli ktoś atakuje Kościół, walczy z Bogiem i jego prawami, wyzwała to we mnie chęć obrony. Lubię uczestniczyć w walce o Jego, Boga, prawa i naukę. I paradoksalnie zawdzięczam to sporom z ojcem.

Ale mimo tych waszych sporów zarówno mama, jak i ty, w zasadzie bez problemów mogłyście praktykować wiarę. Nie we wszystkich „wojskowych” rodzinach było to możliwe.

To prawda, bo choć ojciec próbował „odwieść nas od wiary”, to z marnym skutkiem, bo jego metody, co by nie mówić, były dość łagodne. Pamiętam jedną sytuację:

szałam na bierzmowanie, a ojciec bał się mnie zatrzymać, więc musiał iść za mną. Gdy byłam tuż przy kościele, przywołał mnie i coś tam próbował wytłumaczyć, przekonać, żebym jednak nie wchodziła. Oczywiście, na mnie zadziało to jeszcze bardziej motywująco i weszłam do kościoła bardzo pewnym krokiem. Kiedy po latach z lekkim wyrzutem przypominałam o tym ojcu, przeprosił. Natomiast moją młodszą siostrę próbował czasem przekupić wspólnymi lodami, by nie szła do kościoła. Zresztą z podobnie kiepskim skutkiem. Nie był skuteczny w tej „antyklerykalizacji”...

Z czego to wynikało?

Myślę, że z zamięłowania ojca (mimo wszystko) do wolności. On się zresztą często, w wielu dyskusjach, powoływał na konstytucję PRL, która gwarantowała swobody obywatelskie. Więc i ja się powoływałam na gwarantowane przez konstytucję swobody i prawa, gdy ojcu się nie podobało, że znów latam do kościoła. Tyle że jego narzekanie naprawdę było nieszkodliwe. Niby próbował mnie wychowywać w duchu marksistowskim, ale średnio mu to szło. Na wiele nam w sumie pozwalał, przymykając oko na naszą religijność. Oczywiście, pewne sprawy trzeba było załatwiać dyskretnie. Siostra na przykład nie przystępowała do Pierwszej Komunii w domu (mieszkaliśmy już wtedy w Jeleniej Górze), tylko wyjechała do Zakopanego, do ciotki Czesi. Przyjmowała

Pana Jezusa jakby w ukryciu przed światem... Ta „konspiracja” zakończyła się jednak, gdy dorastałam. Zaczęłam otwarcie kontestować poglądy ojca. W dodatku i ja, i siostra byłyśmy bardzo wierzące, więc naprawdę nie miał z nami łatwo. Mama i babcia chodziły do kościoła, ale się nie afiszowały. Mama siadała zawsze na chórze. Natomiast ja szłam w zaparte... Byłam rogotą duszą. Nad nami już w Jeleniej Górze mieszkał pan z UB. Doskonale wiedziałam, że on obserwował z zacięciem całą naszą rodzinę. Ilekroć widziałam go w oknie, gdy szłam do kościoła, machałam mu książeczką do nabożeństwa.

Ojciec nie miał przez to problemów?

Oczywiście, że miał. Przecież sąsiad czuwał! I donosił, składał raporty z naszych niedzielnych praktyk religijnych. Tata więc regularnie się tłumaczył z naszego zachowania. Wówczas nie zdawałam sobie z tego sprawy. Dopiero po latach rozmawiałam z pewnym pułkownikiem, który leżał razem z ojcem w szpitalu, i ten człowiek w krótkich, żołnierskich słowach poinformował mnie, że ojciec wielokrotnie miał przeze mnie kłopoty. Ze względu na „prowadzenie się rodziny” przez wiele, wiele lat nie dostawał awansu, pozostając majorem.

To była jedyna twoja kontestacja PRL: pomachać komunistom książeczką do nabożeństwa?

A skąd! W późniejszych latach, gdy byłam już dorosła, mieszkałam samodzielnie w Jeleniej Górze. Miałam kawalerkę, którą dostałam od miasta. Pomógł w tym (co tu ukrywać) ojciec. Oczywiście, na moją prośbę mieszkanie pobłogosławił ksiądz. Co ciekawe, pamiętam, że właśnie wtedy ni z gruszki, ni z pietruszki powiedziałam, że przecież i tak w 33. roku życia opuszczę to miejsce... Sama nie wiem, skąd mi to przyszło do głowy, ale dokładnie tak się stało: trzy lata później wstąpiłam do zakonu.

Wracając jednak do buntu przeciwko systemowi...

W moim domu była baza Solidarności.

Bo pod latarnią najciemniej?

Możliwe. W roku 1981, a może rok później (nie pamiętam do końca), przechowywałam u siebie opozycjonistę, który ukrywał się przed milicją. Obok mieszkał ubek, a rzeczony opozycjonista nadawał z mojego mieszkania z przechowywanej tam radiostacji!

Skąd się w ogóle u ciebie ten człowiek wziął?

Znajomy ksiądz poprosił mnie o pomoc. W końcu jednak wyprowadziłam się z tego mieszkania, żeby opo-

Spis treści

Fundamenty, czyli dom nosi się w sobie przez całe życie	13
Góry, czyli jeśli się wspinać, to zawsze wysoko	45
„Walcz, Jolanta!”, czyli o tym jak się zgubić i odnaleźć	63
„Chyba zwariowałaś”, czyli nigdy nie jest za późno, by odnaleźć siebie	89
Narkomani, czyli każdy ma w sobie pokłady dobra.	119
Zakonnica na budowie, czyli jak rozwijać pasję życia	165
Miłość i miłostki, czyli jak pielęgnować w sobie czułość.	181
Podwinięta spódnica, czyli Duch wieje tam, gdzie chce.	193
Media, czyli jeśli Bóg błogosławi, to musi się udać.	211
<i>Carpe diem</i> , czyli <i>life is beautiful</i>	231